



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: „BYĆ ALBO NIE BYĆ” I CO JESZCZE?

Po polskich ekranach krąży zrealizowana przed dwoma laty komedia amerykańskiego reżysera Alana Johnsona - „Być albo nie być”, stanowiąca swoiste remake, (bo wprowadzono do scenariusza nowe wątki, a nawet dodatkową postać) słynnego filmu Ernsta Lubitscha pod tym samym tytułem, nakręconego w Stanach Zjednoczonych w 1942 roku. Tak więc, jak i poprzednim razem, jest to pełna humoru opowieść o grupie polskich aktorów, usiłujących w swym warszawskim teatrze jakoś przeżyć noc okupacyjną: biedę, łapanki, prześladowania na tle rasowym, ciągłą inwigilację ze strony gestapo, a równocześnie wciągniętych, mimo woli, w szczególnie niebezpieczną działalność konspiracyjną.

Niestety, podobnie jak film Lubitscha, późniejsze o czterdzieści lat „Być albo nie być” cechuje całkowita nieznajomość i beztroska w traktowaniu realiów. Oczywiście, dzięki vis comica grającego tutaj jedną z głównych ról Mela Brooksa oraz lawinie gagów (notabene, często niezbyt wybrednych), na „Być albo nie być” ludzie się śmieją. Lecz - jak słusznie zauważa Zygmunt Marciaczak w jednym z czerwcowych numerów „Ekranu” - „Śmiechu jest wiele podczas projekcji, ale jakby nie zawsze w tych momentach, na które stawiali zapewne scenarzyści, reżyser i aktorzy. [...] Polskiego widza - zwłaszcza starszego - niezmiernie śmieszyć muszą filmowe „realia”, obraz Warszawy i okupacji. Aby to zaakceptować, nie wystarczy nawet bardzo silne „przymrużenie oczu” [...]. Polskie przysłowie powiada, że „dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane” [...]. Choć więc te dobre chęci są niewątpliwe - polski widz nie może jakoś pozbyć się uczucia pewnego zażenowania. Zbyt naiwny jest ten obraz okupowanego miasta, doznawanych prześladowań i konspiracji, a przeciwnicy - zbyt głupi, zbyt łatwi do pokonania, przechytrzenia. [...] Podobnej - w tonie, klimacie, tym bardziej w realiach - komedii nie zrealizowałby żaden polski reżyser. Mogła powstać tylko w kraju, dla którego okupacja była wyłącznie opowieścią z drugiej ręki”.

Te słuszne wywody kończy następnie autor cytowanej powyżej recenzji pt. „Lekarstwo na megalomanię” (?! - M. D.) zupełnie karkołomną konkluzją: „Czy decyzja o zakupie filmu i skierowaniu go na polskie ekrany była błędna? Nie! Była słuszna. Także dlatego, iż film Brooksa może być rodzajem lekarstwa i na naszą narodową megalomanię; na przekonanie

części rodaków, że „świat tak wiele o nas wie”, że „byliśmy i jesteśmy pępkiem świata”. Nie byliśmy i nie jesteśmy, „stety” czy niestety”.

Niestety! Choć jestem jak najdalszy narodowej megalomanii, ani nie uważałem się nigdy nawet przez chwilę za obywatela „pępka świata”, nie potrafię zgodzić się z tego rodzaju stwierdzeniem. Film wyprodukowany przez Mela Brooksa i powstały z jego inspiracji oraz przy jego - w przejrzysty sposób widocznym - współuczestnictwie twórczym, (choć w czołówce widnieje nazwisko Alana Johnsona, jako jedyne reżysera), odbieram jako twór żałośnie prymitywny, płaski i chwilami po prostu rozpaczliwie głupi. To prawda, że „Być albo nie być” odnosi się z szacunkiem do Polaków. Że stawi się ich poczucie godności, honor narodowy, patriotyzm. A także podkreśla (wbrew modnym ostatnio na Zachodzie „oskarżycielskim” trendom, pobrzmiwającym w literaturze, filmie i telewizji) poświęcenie Polaków w ratowaniu Żydów przed hitlerowską zagładą. (Dodajmy, że Mel Brooks sam jest Amerykaninem żydowskiego pochodzenia, jego prawdziwe nazwisko brzmi: Melvin Kamiński). Tak. Wszystko to prawda. Ale w sumie jego „zwariowana komedia” na okupacyjne tematy polskie, nawet przy wszystkich wspomnianych pozytywach, grzeszy już aż nazbyt wielką „ahistorycznością”. Zbyt wielką ignorancją oraz lekceważeniem tego, czego świat w ciągu ostatnich lat czterdziestu zdołał jednak przecież się dowiedzieć na temat wojny, Polski, okupacji, ruchu oporu - aby dopatrywać się jeszcze w „Być albo nie być” jakiegoś tam „remedium” na nasze różne śmieszne narodowe kompleksy.

I dlatego, z dwojga złego, wolę już chyba „stary” film Ernsta Lubitscha, któremu przecież po premierze postawiono w recenzjach bardzo wiele zarzutów. A wśród nich także ten: o całkowitej nieznajomości faktów historycznych i nakręceniu ni to komedii, ni to melodramatu, zupełnie oderwanego od życia i aktualnej polskiej rzeczywistości okupacyjnej. Tylko trzeba pamiętać, że stary wyga filmowy, mistrz komedii i historycznych melodramatów w wypracowanym w latach trzydziestych hollywoodzkim stylu, podejmując zaproponowany mu temat „na czasie”, przypominał dowódcę wojskowego pododdziału zmuszonego warunkami wojennymi do „rozpoznania z marszu” znajdującego się przed nim nieprzyjaciela...

Jeszcze niedawno wojna toczyła się daleko, za oceanem, była niemal czymś abstrakcyjnym dla przeciętnego Amerykanina i także dla amerykańskiego reżysera filmowego. Tymczasem 7 grudnia 1941 roku Japończycy napadli na Pearl Harbor; Ameryka znalazła się w stanie wojny, zrodziło się zapotrzebowanie na szybkie podjęcie wojennej tematyki filmowej. Nawiasem mówiąc, wojnę z Japończykami na wyspach Oceanu Spokojnego była dla Amerykanów bliższa, bardziej „realna” niż wojna w Europie; dlatego tematyka „wojenna” zaowocowała tak realistycznie i na tak wysokim artystycznie poziomie w

„Mściwym jastrzębiu” Howarda Hawksa z 1943 roku, i wypadło tak „abstrakcyjnie” czy wręcz „surrealistycznie” w „Być albo nie być” Ernsta Lubitscha z roku 1942. Nie potępiajmy zbytnio Lubitscha za nakręconą przez niego „przymiarkę” do tematyki wojennej i okupacyjnej, a na dodatek: polskiej.

Gdy w 1962 roku sprowadziliśmy wreszcie do Polski ten film, opatrzony on został przez polskiego dystrybutora specjalną wstępną „dokrętką”. Na ekranie - znany aktor Kazimierz Rudzki prezentował film i wygłaszał komentarz, wyjaśniający uwarunkowania artystyczne, niedostatki oraz historyczne „przekłamanie” obrazu Lubitscha. (Nawiasem mówiąc, piszący te słowa pierwszy raz oglądał „Być albo nie być” w 1944 lub 1945 roku, kiedy przemknął on przez polskie ekrany niejako „nieoficjalnie”, dostarczony samolotem do Polski z szeregiem innych amerykańskich filmów wojennych. Wtedy zresztą nikt w ogóle nie miał zastrzeżeń do „wiarygodności” tego filmu. Dla publiczności wystarczyło, że na ekranie Niemcy są ośmieszani i że Niemców biją.)

Obecnej ekranizacji „Być albo nie być” nikt, niestety, nie opatruje komentarzem. Nic więc dziwnego, że do kompletnego mętliku na ekranie dołącza się jeszcze mętlik w umysłach widzów: po co w ogóle ten film sprowadzaliśmy? Co to za guo pro guo z tym “To be or not to be”?

Pierwodruk: „Kamena”, 1985, nr 14, s. 10.